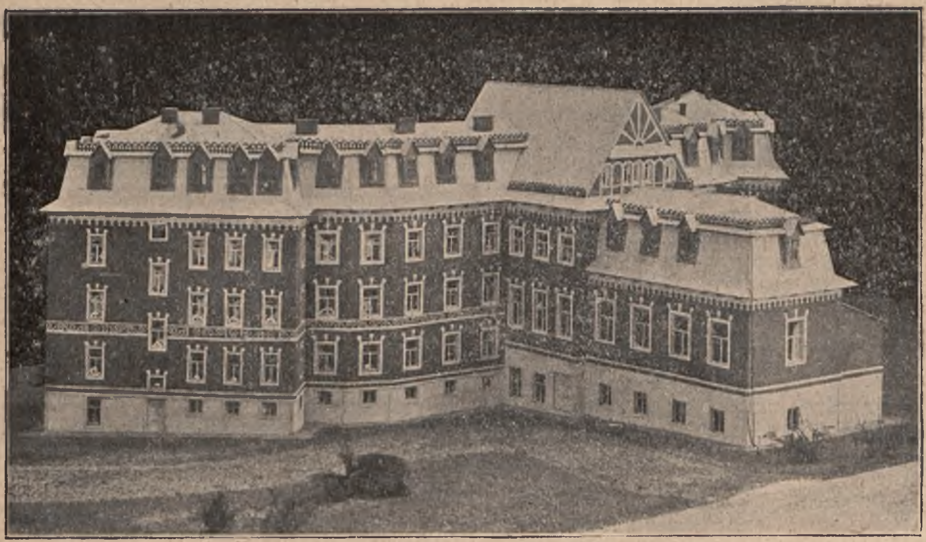
„Głos Narodu“ ilustrowany.



MODEL SANATORYUM W ZAKOPANEM.



WIDOK BUDOWY SANATORYUM W ZAKOPANEM NA STOKACH GUBAŁÓWKI.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 16 listopada 1901 roku.



Dr Kazimierz Dłuski.



Drowa Bronisława Dłuska.

Sanatoryum dla chorób piersiowych w Zakopanem.

Trzy lata niespełna minęło od chwili, gdy Dr Kazimierz Dłuski, opuściwszy Paryż, gdzie po odbyciu studyów przez cały szereg lat poświęcał się praktyce, osiadł w Galicyi, aby oddać się w zupełności pracy nad stworzeniem u nas pierwszego wzorowego sanatoryum dla osób dotkniętych gruźlicą. Podczas wakacyj przypadkowo w Zakopanem spędzonych, miał on sposobność naocznie przekonać się o tem, że nasza »perła Tatrzańska« jest wymarzoną stacyą klimatyczną. Od tej pory zaczął pracować nad tem, aby tam właśnie stworzyć pierwsze polskie sanatoryum. Po dokładnem zwiedzeniu wszystkich lepszych analogicznych zakładów zagranicznych i po dłuższym pobycie w Davos w charakterze asystenta znanego sanatoryalisty Dra Turbana, począł Dr Dłuski pracować nad wprowadzeniem myśli swej w życie realne, gdyż własne jego mienie, które włożył w interes stanowiło zaledwie część potrzebnego na cel ten kapitału. W krótkim czasie energia jego i zapał zjednały sprawie tej gorących zwolenników. W liczbie ich znaleźli się: Ignacy Paderewski, Henryk Sienkiewicz, Brunon Abakanowicz, hr. Konstanty Potocki etc... etc... W dniu 30. stycznia 1899 r. pierwsi ci uczestnicy wraz z Drem Dłuskim założyli w Krakowie Towarzystwo udziałowe, licząc na to, że społeczeństwo polskie zechce wspólnemi siłami tak pożyteczną i naglącą sprawę urzeczywistnić. I nie zawiedli się w swych przewidywaniach, co możemy uważać za pocieszający dowód rozwoju naszego pod względem ekonomiczno-społecznym.

Sprawa zakopiańskiego sanatoryum pozyskała najpierw gorące, moralne i finansowe poparcie w świecie lekarskim Królewstwa Polskiego w osobach jego najwybitniejszych przedstawicieli jak Drów: Baranowskiego, Dunina, Sokołowskiego, Zielińskiego, Chrostowskiego etc.; następnie zaś spopularyzowała się w innych sferach. U nas w Galicyi sprawą tą zainteresowała się przeważnie arystokracya: hr. Leon Piniński, hr. Kazimierz i Stanisław Badeniowie, ks. Eustachy Sanguszko, hr. Andrzej Potocki, hr. Adamowa Potocka, ks. Marceli Czartoryski, ks. Eleonora Lubomirska etc. należą do liczby akcyonaryuszy. Dziś po upływie niespełna trzech lat od chwili założenia, rezultaty pracy stowarzyszenia sanatoryalnego, na czele którego stoją hr. Konstanty Potocki, prezes i hr. ord. Adam Krasiński, wiceprezes, są już imponujące.

Na stoku Gubałówki na szerokiej polanie otoczonej ze wszech stron pięknym lasem, należącym do Stowarzyszenia, wznosi się już wspaniały gmach, który będzie mógł pomieścić do 90-ciu chorych. Przez wielkie okna, promienie słoneczne zalewają wszystkie pokoje bez wyjątku, od strony bowiem północnej biegną tylko szerokie korytarze. Załączamy rycinę przedstawiającą obecny stan robót. Podjazd prywatnej drogi zakładowej został urządzony od tyłu gmachu, gdzie również w prostopadle dobudowanym pawilonie umieszczono kuchnie, wielką 2-piętrową salę jadalną, oraz piękną kaplicę. Szczegóły te dobrze są uwidocznione na rycinie przedstawiającej bok modelu przyszłego sanatoryum, wykonanego umyślnie na Zjazd Krakowski lekarzy z przyrodników w 1900 roku.

Ostatnie te urządzenia sprawią, że zapachy kuchenne i kurz nie będą mogły przedostawać się do pokoi mieszkalnych i na leżalnię, gdzie chorzy większą część dnia spędzać będą. Zakład posiadać będzie kanalizacyę, wodociągi z zimną i gorącą wodą, centralne ogrzewanie, elektryczne oświetlenie, kamerę desinfekcyjną, wreszcie wewnętrzne urządzenie i umeblowanie nadające się w najdrobniejszych szczegółach do radykalnej desinfekcyi.

Jest wszelka nadzieja, że nowy zakład, potrzebę którego najlepiej oceniają chorzy nasi, zmuszeni dziś tułać się po szwajcarskich i niemieckich sanatoryach, otwartym zostanie już we wrześniu roku przyszłego. Wprawdzie kapitał zakładowy wynoszący blizko 400,000 złr. nie jest jeszcze w zupełności pokryty, brak jednak już tylko kilkadziesięciu tysięcy. Nie wątpimy, że i te pozostałe udziały szybko zostaną rozebrane, tembardziej, że mamy mocne przekonanie, że ludzie dobrej woli, którzy pomogli Drowi Dłuskiemu do urzeczywistnienia jego pięknej myśli, materyalnie nie tylko nic na tem nie stracą, lecz, że niezawodnie korzystnie pieniądze swe ulokowali. Dobrze urządzone i dobrze poprowadzone sanatoryum okaże się interesem opartym na mocnych finansowych podstawach, bo odpowiada potrzebom, gwałtownie i oddawna uczuwać się dającym.

Wreszcie nie możemy powstrzymać się, aby kończąc to sprawozdanie, nie wyrazić gorących

słów uznania Drowi Dłuskiemu, twórcy pierwszego polskiego sanatoryum, który nie wahał się porzucić pięknego stanowiska wyrobionego sobie zagranicą, aby pracować wśród swoich i dla swoich. Dodajmy wreszcie, że Drowi Dłuskiemu w pracy jego dopomaga gorliwie małżonka Jego, będąca również lekarzem, pani Bronisława Dłuska. Oby wspólne ich starania dozwoliły pierwszemu polskiemu sanatoryum otworzyć jak najprędzej swe podwoje i spełniać swe wysoce humanitarne zadanie.

Polski lud — polska sztuka zdobnicza.

Podziwialiśmy poezyę ludową, gdy na nią zwrócił uwagę geniusz Mickiewicza, podziwialiśmy muzykę ludową w mazurkach Chopina, a nie zwracaliśmy przez długie lata uwagi na oryginalną i nie pozbawioną wdzięku sztukę zdobnictwa u ludu, na bogatą i szeroko rozwiniętą ornamentacyę jego.

W ostatnich czasach dopiero spostrzeżono, że jak lud umie śpiewać ochocze krakowiaki lub smętne dumki, jak umie snuć powieści fantastyczne, tak również z niemniejszym wdziękiem zdobi rysunkiem i malowidłem wszystko, co go otacza.

Przepyszne hafty białe i kolorowe w zdumienie wprawiają najsubtelniejsze gusta zawodowych hafciarek, a ornament górali zakopiańskich rzezany w drzewie podziwiamy nie mniej, dzięki dziełom Dra Matlakowskiego.

Zwróćmy na chwilę uwagę na ornament dekoracyjny ludu krakowskiego. Lud ten kocha się w hafcie białym, to też kołnierze, mankiety i przody koszul, chustki, jakie kobiety wiążą na głowach, fartuchy i spodnice są bogato ozdobione haftem atłaskowym. Gorsety dziewcząt i kobiet tutejszych pstrzą się od sutego wyszycia jedwabiami kolorowymi, krepinami i tasiemkami, lśnią od naszywanych blaszek złocistych, paciorków i guzików. Szerokie pasy skórzane mężczyzn, czyli tak zwane opaski, ozdobione bywają wycinanemi w skórze gwiazdkami, wyszyte jedwabiami różnobarwnymi, nabijane blaszkami i kapslami mosiężnemi. Te same usiłowania zdobienia otoczenia swego spostrzegamy, rozglądając się w izbie wieśniaka i przypatrując się skrzyniom, łóżkom, kołyskom, ławom, szafkom i półkom malowanym.

Ornament roślinny panuje tutaj wszędzie a ornament geometryczny zajmuje podrzędniejsze miejsce. Dość spojrzeć na przedstawione na rysunkach cztery skrzynie. Na jednej widzimy wieńce z liści i kwiatów polnych, na drugiej równianki kwiatów i kłosów przewiązane wstęgą, na innej znowu bukiety w wazonach. Skrzynie te malowane są przeważnie na kolor ciemno-zielony; na tem tle rozwijają się kwiaty białe i czerwone, niebieskie i żółte. Barwy są żywe, gorące, jednakże zlewają się w harmonijną a oryginalną całość.

Jakież tu wszędzie bogactwo zdrowych a swojskich motywów rysunkowych, jakie skarbnice dla duszy artystycznej, poszukującej nowej karmy dla fantazyi swojej!

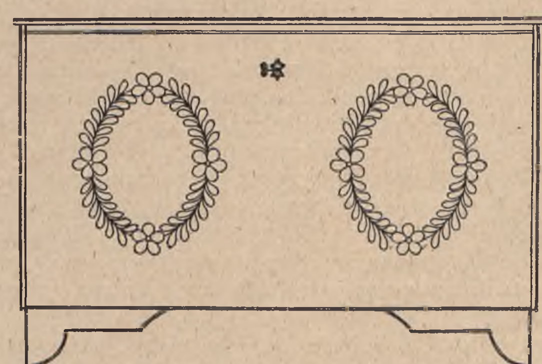
Byłby już czas, abyśmy ocenili tak, jak na to zasługują te ornamentacyjne utwory wyobraźni ludu, abyśmy zwrócili na nie uwagę na obszarach wszystkich ziem polskich. Cóż to za skarb nieoce-



Skrzynia z Kosocic
(rys. z natury Jan Zabawka. Ze zbiorów Seweryna Udzieli).



Skrzynia z Gdowa
(rys. Celina Garbaczyńska).



Skrzynia z Gdowa
(rys. Celina Garbaczyńska).



Skrzynia z Bieżanowa
(rys. z natury Maksymilian Guńkiewicz. Ze zbiorów Seweryna Udzieli).



Prof. Jan Bołoz Antoniewicz.



Dr Albert Zipper.

niony posiedlibyśmy, gdybyśmy wzory tej ornamentyki swojskiej skrzętnie zebrali i zgromadzili razem!

Rzeczą to w pierwszym rzędzie pań polskich. Do Was, Polki, zwraca się świat artystyczny. W wolnych od innych zajęć chwilach zwróćcie uwagę na ten tłum szary, który Was otacza, na piękności, które wytwarza dusza wieśniaka i wierząc, że przysłużycie się sztuce ojczystej, że przyczynicie się do jej rozwoju i rozkwitu, kopiujcie wiernie, bez żadnych zmian i dodatków i hafty i wyszywania i rzeźby i malowany ornament gdziekolwiek i na czemkolwiek spostrzeżecie go wśród ludu. Każdy najdrobniejszy nawet rysunek, byle wierny, byle rzeczywiście ludowy, a oznaczony skąd i z czego pochodzi przyczyni się do stworzenia kiedyś pięknej całości. Tylko zapału trochę dla idei, tylko ofiary z chwil kilku i pracy nieco dla sprawy ogólnego a poważnego znaczenia.

Cały świat cywilizowany szuka dróg nowych dla sztuki i nie zawsze trafia dobrze. Pokażmy mu obszary dotychczas nie wyzyskane, pokażmy pola twórczości ludowej*). Tak, jak pieśń gminna dostarczyła niegdyś wątku do romantycznej poezyi naszej, tak dzisiaj niechaj zdobnictwo ludowe da początek romantycznej epoce w sztuce dekoracyjnej.

Seweryn Udziela.

Nowy prezes Tow. Przyj. Sztuk Pięknych

we Lwowie.

Wybór szanownego profesora na prezesa lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych można nazwać ze wszech miar szczęśliwym. Prof. Jan Bołoz Antoniewicz znany z licznych prac teoretycznych z dziedziny literatury i sztuki, okazuje tak głębokie wnikanie w przedmiot, tak subtelne i żywe poczucie piętna, że z pewnością będzie czuwał, aby pozostająca pod jego kierownictwem instytucya nosiła charakter prawdziwie artystyczny: z drugiej strony cechuje go wielka doza praktycznego poglądu na świat i stosunki, w których się obracamy: gwarancya, że zdoła wywołać żywszy ruch artystyczny między publicznością, która mu dotąd była obcą. Istotnie czytamy też w czasopismach, iż jednym z pierwszych kroków nowego zarządu jest uchwała dążąca do urządzania »wędrownych wystaw sztuki« w miastach prowincyonalnych, jak Stanisławów, Buczacz, Tarnopol etc

Uchwale tej możemy tylko przyklasnąć.

Nowy prezes urodził się 13. maja 1838 w Skomorochach (pow. Buczacki), studya odbył w Krakowie, Wrocławiu i Monachium. Profesorem historyi sztuki na uniwersytecie lwowskim jest od r. 1893.

*) W tej myśli powitać też należy z żywą radością powstanie w Krakowie Tow. Polskiej Sztuki Stosowanej, które konkursami swemi, i wystawą niewątpliwie zainicyuje energicznie nowy zwrot w zakresie sztuki polskiej i zdobnictwa polskiego. *Przyp. Red.*

Dwudziestopięciolecie pracy literackiej

Dr Albert Zipper.

Także jubilat! Kto zna we Lwowie — a zna każdy — młodą tę, pełną, różową twara, postać krągłą, a ruchliwą szanownego profesora — z trudnością uwierzy, że ma on już za sobą ćwierć wieku pracy. A jednak tak jest. Albert Zipper zaczął ogłaszać utwory drukiem — pierwszym był przekład popularnej pieśni: »O gwiazdeczko« — już w roku 1876, co prawda, miał wówczas lat dwadzieścia. Od tego czasu rzuca, jak z rogu obfitości, tłumaczenia z literatury polskiej, większe oryginalne rozprawy germanistyczne i pedagogiczne, komentarze do klasyków niemieckich etc. etc. Prace te zaskarbiły mu zasłużone uznanie, osobisty zaś charakter, zacny, uczynny i towarzyski, sympatye, jakie zdołał sobie zaskarbić, jako profesor gimnazyalny we Lwowie — czynią go w szerokich kołach znanym i popularnym.

Albert Zipper urodził się we Lwowie 8 maja 1855 r., jako syn urzędnika wojskowego. Młodość pierwszą spędził w Wiedniu i już wcześnie z zamiłowaniem oddawał się studyom filozoficznym i prawniczym najpierw w Wiedniu, potem we Lwowie. W r. 1880 uzyskał na Wszechnicy Jagiellońskiej stopień doktora filozofii. W 1882 r. rozpoczął służbę nauczycielską przy szkołach średnich we Lwowie, od 1891 r. przy niemieckiem

gimnazyum we Lwowie. Od r. 1885 wykłada także język i literaturę niemiecką na Politechnice we Lwowie w charakterze docenta.

Zawód literacki rozpoczął w 1876 r. przekładami poezyi polskich; a w następnym roku wyszła w Hamburgu pierwsza książka jego, przekład »Maryi« Malczewskiego, poprzedzony wstępem biograficznym. Tamże wyszedł także przekład poematu Mickiewicza »Petersburg«, a u Reclama w Lipsku przekład »Przenajświętszej Rodziny« Zaleskiego — a miały takie powodzenie, że doczekały się wydania powtórnego — rzecz niebywała przy przekładach niemieckich z języka polskiego. Zbiór własnych poezyj Zippera, »Gedichte«, wyszedł po raz pierwszy w Wiedniu w 1887 r., powtórnie w Lipsku w 1893 r.; zawiera on mnóstwo przekładów z Mickiewicza, Ujejskiego (n. p. »Z dymem pożarów«), Lenartowicza.

Od r. 1882 ogłaszał Dr Zipper także po polskich czasopismach liczne prace, głównie z zakresu historyi, literatury i cywilizacyi: studya, rozprawy, feljetony, krytyki i recenzye. Cały szereg prac poświęcił Mickiewiczowi i należał do założycieli Towarzystwa literackiego imienia Mickiewicza we Lwowie. — Osobno wydał cały szereg książek, z których najbardziej znane są: »Siedm cudów świata« 1886, »Żywot i pisma Grillparzera« 1886, »Lutnia i miecz« (żywot Petöfiego) 1894, »Opowiadania z mitologii« 1897, »Mitologia« 1898, »Praktyczna gramatyka języka niemieckiego dla Polaków« 1899 i i.

Po niemiecku ogłosił całą seryę komentarzy do klasyków niemieckich i biografię poety Körnera nakładem »Universal - Bibliothek« Reclama w Lipsku. Napisał też podręcznik szkolny literatury niemieckiej, kilka tomików poezyi humorystycznych i satyrycznych, liczne rozprawy umiejętne i popularne, feljetony i t. d. po czasopismach niemieckich. Mając imię wyrobione, korzysta z każdej sposobności, by informować Niemców o sprawach bieżących polskich; pisał n. p. szereg feljetonów o ucisku prasy polskiej pod zaborem rosyjskim, o setnej rocznicy konstytucyi, o pogrzebach Mickiewicza i Kraszewskiego, o wystawie lwowskiej itd.

Najnowszą większą pracą Dra Zippera jest przekład niemiecki wierszem baśni dramatycznej Stanisława Rossowskiego: »Circe«.



Wystawa prac prof. Kovatsa.

Nowi profesorowie.

Politechnika lwowska pozyskała w ostatnich dniach szereg znakomitych talentów — a jest nadzieja, że i na katedrach uniwersytetu zasiędą nowe chluby nauki polskiej.

Około nazwiska Edgara Kovatsa oplątała się sprawa stylu zakopiańskiego tak samo, jak około nazwiska Witkiewicza. Każde z nich oznacza pewien odrębny punkt patrzenia na sprawę. Wit-



Prof. Edgar Kovats.



Prof. Jan Lewiński.



Prof. Teodor Talowski.

kiewicz, który zakopiańszczyznę, rzec można, odkrył, który już w r. 1888, kiedy nikomu nie śniło się o tem, że na Podhalu spoczywają nieoszacowane skarby polskich motywów artystycznych, nawoływał do przeciwdziałania potopowi szwajcarszczyzny, zalewającemu Zakopane z jego własnymi, odrębnymi, rodzinnymi elementami budowlanemi i ornamentalnemi, wychodzi z zasady, że elementy te są dość bogate, aby posłużyć do rozwinięcia stylu polskiego w całem tego słowa znaczeniu i dlatego każe niemi artyście tworzyć tak, aby nie dostał się do nich ani jeden ton obcy.

Kovats jest sceptyk. Nie może się przekonać do powyższego stanowiska. Ceni motywy zakopiańskie, ale uważa je za zbyt ograniczone, aby je w styl rozwinąć. Z takiego założenia wychodząc, nie uważa za potrzebne krępować się zachowywaniem bezwzględnej czystości tych motywów, posługując się niemi tylko jako materyałem, który dowolnie i swobodnie ugniata w retorcie swojej fantazyi twórczej. Tę cechę odrębną, jaką w ornamentyce góralskiej spotyka, nazywa skromnie »sposobem zakopiańskim«. Wyznawcami Kovatsa i »sposobu« są także niektórzy architekci nasi.

Spór jest ciągle otwarty. Rozstrzygnie go praktyka.

Edgar Kovats, Polak bukowiński, syn wiarusa z r. 1831, pojawił się na horyzoncie Galicyjskim w r. 1896 powołany z Wiednia, gdzie pracował przez długie lata, jako architekt, na kierownika szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem. Odegrał tu wybitną rolę. Chociaż zarzucają mu, że się nie poznał na wartości motywów zakopiańskich, jednakże faktem jest, że on dopiero naprawdę motywy te do głosu dopuścił w szkole, prowadzonej od początku przez Niemca, dla którego polska sztuka ludowa była zbyt »barbarzyńską«, ażeby się nią mógł zajmować szanujący się tyrolski fabrykant figurek. Kovats rozwinął na wielką skalę wytwarzanie zakopiańskich mebli stylowych, ołtarzy i drobiazgów dekoracyjnych. Z tego czasu datuje się jego »wnętrze zakopiańskie«, posłane na wystawę Paryzką 1900 r. i odznaczone złotym medalem. W r. b. powołany został Kovats, jako profesor zwyczajny na katedrę architektury w lwowskiej szkole politechnicznej.

W auli tej szkoły odbywa się właśnie wystawa prac prof. Kovatsa z trzech okresów jego twórczości: z okresu wiedeńskiego, zakopiańskiego i lwowskiego.

Edgar Kovats urodził się w r. 1859 w Karaprzyjowie na Bukowinie, studya odbywał w byłej lwowskiej »Akademii technicznej«, potem we Wiedniu i w Zurychu pod kierunkiem sławnego Golfryda Sempera. Pracował długo pod kierunkiem Hasenauera we Wiedniu a w r. 1895 powrócił do kraju, jako dyrektor szkoły dla przemysłu drzewnego w Zakopanem. Jakkolwiek kierunek jego artystyczny mocno jest atakowany, wątpliwości nie ulega, że pod względem czysto technicznym i pedagogicznym prof. Kovats przyczynił się znakomicie do podniesienia szkoły zakopiańskiej. Od kilku miesięcy wykłada na politechnice lwowskiej architekturę po jednym z najznakomitszych budowniczych polskich Jul. Zacharyewiczu.

Architektura, według słów Lamennais, p o e z y a ś w i a t a b r y ł — niestety dzisiaj w służbie swojej nie wielu ma poetów.

Architekt przeciętny, zwyczajny — to najczęściej naśladowca dawnych stylów, kompilator bez siły twórczej — albo matematyk suchy. Ludzi z fantazyą, poetów cegły i kamienia, jakżeż mało między nimi!

Należy do nich jednak świeżo mianowany prof. Politechniki lwowskiej, architekt Teodor Talowski, chluba naszej architektury, posiadający i za granicą rozgłośne imię.

Teodor Talowski ur. 1857 r. w Zassowie, jest wychowankiem szkół krakowskich, i w Krakowie spędził większą część życia. Po ukończeniu gimnazyum w Krakowie, chodził na technikę wiedeńską, następnie we Lwowie studyował architekturę pod kierunkiem prof. Zacharyewicza. Od r. 1881—1891 przebywał w Krakowie, naprzód jako asystent, następnie profesor rysunku w Szkole przemysłowej. Od r. 1887 począł zwracać na się uwagę, jako praktyczny architekt. Nie będziemy tu określali szerzej rodzaju jego talentu, pełnego polotu twórczego, niewyczerpanego w oryginalnych kombinacyach, pozostawiając sobie to do oddzielnego artykułu. Zaznaczamy tylko, że budowle jego i plany jego (w 1897 wydał wielką księgę »Projekty kościołów«) zyskały zasłużone i szerokie uznanie na licznych wystawach (1892 w Turynie, 1894 medal złoty na Wystawie lwowskiej). W r. 1898 milioner H. Loewenfeld wezwał go do Londynu, aby mu zbudował wspaniałe mauzoleum w czystym stylu greckim.

Główne prace Talowskiego są: Kościół romańsko-gotycki, fundowany przez hr. Wł. Branickiego w Suchej; kościół gotycki w Dobrzechowie i pałac dla hr. R. Michałowskiego; dom Goetza Okocimskiego w Krakowie; podkop i wiadukt w ulicy Lubicz w Krakowie; gmach Sokoła w Jarosławiu; mauzoleum hr. R. Potockiego; willa w Bochni dla Dra Dembowskiego; domy w Krakowie: »Pod pająkiem«, »Festina lente«, »Pod osłem«, »Pod żabą«; Szpital Bonifratrów w Krakowie; projekt ossarium na polu bitwy pod Austerlitz i w. i.

Tak więc Kraków i okolice Krakowa były głównem polem oryginalnej działalności znakomitego architekty. Teraz osiadł we Lwowie, w pełni sił twórczych, które niewątpliwie wydadzą niejeden owoc godny podziwu.

Ostatnim nabytkiem politechniki lwowskiej jest p. Lewiński. W małym, niepozornym przedsiębiorcy lwowskim silna mieszka dusza. W krótkim czasie dał się we Lwowie poznać, jako jeden z rzadkich u nas ludzi, k t ó r z y u m i e j ą ł a m a ć p r z e s z k o d y. Oby ducha tego umiał wzniecić i podtrzymać w szeregach swoich uczniów — przyszłych pionierów postępu naszego przemysłu!

Ob.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali – jej „Pa“ i „Ma“

Ciąg dalszy.

Byliśmy też na wystawie sztuk pięknych: „jakieś tam krówki na łączkach, łączki bez krówek; jakieś tam wiatraki, jakieś zachodziki i wschodziki słońca, jakieś chłopy w białych kapotach i chłopy bez kapot — a razem nędzne kicze i właściwie mydlarstwo«. — jak powiedział kuzynek Jaś.

Mnie i „Ma“ bardzo się podobały obrazki pana Stachiewicza, takie śliczne...

— „Mydlarz glicerynowy!“ — powiada kuzynek...

A „Pa“ bardzo się zachwycał jakiemś popolowaniem pana Fałata.

— „Mydlarz cesarski!“ —

Zabaczyłam obraz pana Gersona, bo on i u nas w Warszawie wystawia...

— „Mydlarz Warszawski, najgorszy gatunek“ — powiada kuzynek... ale ja się na to zgodzić nie mogę, bo chociaż kuzynek Jaś mówi także Przybyszewskiemu „Stachu“ i zna się... ale i pana Gersona, tak u nas w kuryerach ciągle chwalą... że także się znać muszą...

Potem poszliśmy na ten proszony obiad do matki kuzynka.

Zupełnie, zupełnie myślałam inaczej o niej.

A ona stołuje, wydaje prywatne obiady!

„Ma“ się chciała cofnąć, ale było już zapóźno. Widziałam, że „Pa“ nie zrobiło to najmniejszej różnicy.

Przy stole było kilkanaście osób... a obiad! lepiej nie wspominać.

A towarzystwo! — same studentki i studenci, a na szczęście dwóch przyjaciół kuzynka — dekadentów! — tak się zachowywali przy stole jakby nas tam nie było; palili, kłócili się, czytali gazety podczas jedzenia — co? to dobrze wychowani! — A jak poubierane — to coś okropnego, u nas w Warszawie, to pokojówki na wychodne, ubierają się lepiej!...

Biedny ten kuzynek Jaś!...

Jaka to szkoda, że nie można sobie wybierać rodziców!

A ci studenci, to podobno sami tacy wypędzeni u nas ze wszystkich szkół... wypędki!

Czarujące towarzystwo, co?

A ta ciocia żyje z niemi jak... winszuję ale naprawdę nie zazdroszczę, nie...

Ci dekadenci siedzieli przy mnie. Bardzo przystojni, i podobno ogromnie genialni... a jeden z nich jasny blondyn z czarnemi prawie oczami.

Nic nie drukowali, mówili że nie warto dawać „mydlarzom“ arcydzieł — że lepiej kilku wybranym przeczytać w rękopisie.

Kuzynek mówił że oni mają plany na nadzwyczajne rzeczy, na arcydzieła, jakich jeszcze nie było.

Wyglądają na to, ale mnie się więcej podoba ten jasny... a głos ma taki słodki, taki... przenikający jak muzyka. —

„Ma“ z powodu prezesostwa „Pa“ urządziła u nas w hotelu herbatę; zaprosiła tę ciotkę — a ja tak zrobiłam, że z kuzynkiem przyszli i ci dwaj — pan Hijacynt i pan Adalbert.

Ale tej ciotki, to już mam dosyć i jej towarzystwa.

No, bo można być bez środków, to się czasem zdarza podobno nawet najporządniejszym ludziom — ale żeby żyć ze stołowania... to coś okropnego. Ci biedni kuzyni, to naprawdę egipska plaga.

Niestety, ale mamy ich paru... czy nawet więcej — Nigdy nie można było się ustrzedz od ich natręctwa w najbardziej niewłaściwej porze...

Aż dopiero „Ma“ zapowiedziała Rozalii, że kto tylko przychodzi głównemi schodami, powinien dawać bilet wizytowy.

Teraz z góry się przynajmniej wie, czy się jest w domu — lub czy się wyszło.

No... bo nieraz przychodzili kiedy był ktoś ze znajomych... a tak się źle ubierają!... Naprawdę, ale ubierać to już się powinni porządnie — niktby wtedy przynajmniej nie poznał że...

Ale — cały czas na tym obiedzie czekałam rychło ciotka weźmie „Pa« do osobnego pokoju i poprosi o pożyczkę.

Oni tak robią zwykle.

Nie poprosiła... a może później to zrobi... przed wyjazdem naszym...

. . . .

Ale herbata udała się nadzwyczajnie!

„Pa“ jakoś długo nie powraca... znowu będzie awantura!...

Żeby lubieć przesiadywać w takich brudnych, dusznych, zadymionych knajpach!

Ci mężczyźni, to niemają ani odrobiny smaku.

Byliśmy i w teatrze.

Ale, muszę pierw napisać o tym podwieczorku.

Pan Hyacynt wpisał mi do mojego kajecika cudny poemat!

Już widzę, jak mi go Ceśka będzie zazdrościła.

Ale naprawdę ten poemat jest cudowny... ja się jeszcze dekadentyzmu nie uczyłam, ale czuję go... Madame wykładała nam tylko historyę literatury... doszłyśmy do... naprawdę niepamiętam — do Mickiewicza czy też do Kochanowskiego?

C. d. n.

Ciekawa ta fotografia upamiętnia niedawny zjazd rodzin monarszych na zamku Fredensborg w Danii.

Widzimy na niej najstarszego monarchę w Europie, 83-letniego króla Duńskiego Krystyana IX. w otoczeniu jednej części jego wielce rozgałęzionej rodziny, do której jak wiadomo zalicza się car rosyjski. Stąd to mały dwór duński jest oddawna siedzibą i kuźnią dyplomatyczną intryg i zabiegów najróżnorodniejszych.

Sędziwy król Krystyan IX. nazywany bywa »dziadkiem Europy« ze względu właśnie na rozległe związki pokrewieństwa i powinowactwa jakie go łączą z dworami europejskimi.

I tak na fotografii powyższej z 28 książąt — 27 jest spokrewnionych z sędziwym monarchą duńskim, między innymi car, król angielski i król grecki.

Widać także na rycinie dwu następców tronu: duńskiego i rosyjskiego.

Szczególną jest ta fotografia już z tego powodu, że przedstawia razem aż cztery generacye: dzieci bowiem w środku pierwszego szeregu mianowicie trzy córki cara oraz dzieci księcia Schaumburg Lippe — są to prawnuczęta króla Krystyana.



Następczyni tronu duńska z dwojgiem najmłodszych dzieci. Księżna Luiza Schaumburg Lippe. **Królowa angielska Aleksandra.** **Król duński Krystyan.** **Carowa wdowa.** **Carowa z trzema córkami.** Wielka Ks. Olga. **Car Mikołaj II.** Królewicz grecki Mikołaj. **Król angielski Edward.** Książe duński Karol z żoną. Książe duński Krystyan z żoną.

ZJAZD MONARCHÓW NA ZAMKU FREDENSBORG W DANII.

Ś. p. „SZCZUTEK" i jego figury.



„Strachajło".



Imci Pan Onufry, obywatel lwowski.



„Gogo".

Śmierć Liberata Zajączkowskiego przypomniała społeczeństwu o »Szczutku«, »pismo satyryczno-polityczne«, które przez długie lata było w Galicyi więcej, niż gazetą, więcej, niż ciętą i ostrą satyrą — było pewną ideą polityczną, jaśniejszą, wyraźniejszą, z większem powodzeniem czynną, niż niejedna wielka figura i instytucya polityczna.

Idea — polska, ultro-patryotyczna, federalistyczno-słowiańska, w przeciwstawieniu do polityki ugodowej Ziemiałkowskiego, była myślą przewodnią pisma, a bronią — ostry, gryzący, niemiłosierny dowcip. Zajączkowski — założyciel, redaktor, rysownik, pisarz, *animus movens*, a dokoła niego sztab współpracowników, których nazwiska mówią o talencie, poezyi, nieraz natchnionej: Chochlik-Zagórski, Włodzimierz Stebelski, Bol. Czerwieński... Zajączkowski robił politykę, dyrygował — oni grali, a szedł od nich ogień, który grzał i dym, który smalił, czernił, okrywał śmiesznością...

Miał Szczutek oprócz wierszy naczelnych, artykułów wstępnych, nadających ton i kierunek »wielkiej polityce«, niejako armat dużego kalibru, stałe rubryki, szereg wojsk regularnych, które w każdym numerze ruszały do boju z wrogami wewnętrznymi Galicyi, z błędami społecznymi kraju, zakorzenionymi narowami i złośliwymi nowotworami na organizmie autonomiczno-społecznym. I tak Wielmożny Pan Kalasanty herbu Dobrynos, szlachcic na zagonie, mosterdzieju, w gruncie serca poczciwy i zacny, zawsze schylony nad gazetą, robił »wielką politykę«, gdy IMCI pan Onufry »mieszczan« lwowski robił politykę lwowską. Wspaniały był sobie ten obywatel z Bajek, z fajeczką w ręku, który przesiadywał u Naftuły, z kumem z gubernii lub innym honornym obywatelem, gromił jentelegentów i profesorów w imieniu swojej wyższości politykarza z przedmieścia i opanowywał maistrat taj tylko.

Pierwszorzędną figurą Szczutka był Strachajło. Gdy redakcya wyznawała zasadę w »rzeczach wiary, bądź z innym albo gorącym, albowiem letniego wyrzucę z ust moich« (objawienie św. Jana) — to Strachajło zawsze się bał tak zimna, jak i gorąca... W czasie ugody kraju z Austryą, gdy patryoci wszystkich sił dokładali, aby ugoda nie szła zadaleko i nie wystudziła uczuć narodowych — on się bał... Z włosem najeżonym, twarzą kurczowo ściągniętą, zaczynał swój monolog sakramentalnie od słów: Ja się nie boję — a oczy mu z orbit omal nie wyskakiwały... W jakim np. był on strachu, gdy nadchodził 29. listopada, obchód uroczysty smutnej rocznicy! Podług niego władza powinna była wydać rozporządzenie: Zakazuje się wymawiać »dwudziesty dziewiąty« a poleca się mówić natomiast »fünf und zwanzig«.

»Kalendarze, oznaczające dzień, w którym przypada 29. listopada, mają być natychmiast skonfiskowane«.

»Miesiąc luty w latach nieprzestępnych awansuje na listopad, a listopad odtąd mieć będzie tylko 28 dni«.

W satyrach na różne typy społeczeństwa ówczesnego poczestne miejsce zajmował Gogo. W nieposzlakowanym cylindrze, austryackich »baczkach« i z monoklem, reprezentował w piśmie złotą młodzież, zapełniającą wszystkie kąty, gdzie wymagało się nietyle pracy, ile protekcyi, nietyle wiedzy w głowie, ile — w nogach... Wodzirej, gracz, *chevalier* na polu wyścigowem i w służbie Wenery. Wszak wiadomo...

Nie trza nauk, pracy, zasług!
Kto się tylko rodzi gogiem,
Tan dobije się karyery
W próżniaczeniu słodkiem, błogiem.

Wszystkie dla nas są urzędy,
Wszystkie banki tworzą dla nas —
Gorzki pracy chleb dla tłumu,
Dla nas tylko jest ananas.

Niech tam krzyczą: Ginie cnota
W koteryjnym tym przełomie!
Jak zabraknie miejsc, to stworzym
Jeszcze drugą autonomię!

a w ślad za Gogiem szły Gogątka.

Dwóch gołowąsów, szykownie, według ostatniej mody wystrojonych, jeden w cwikierze, drugi z papierosem, prowadziło w każdym numerze typowe, niewyczerpane swoje rozmowy — echo lub małpowanie gogów starszych i najstarszych.

— »Ty! wiesz, papa dał bal i to na cześć moją. Wyobraź sobie szyk... pękło szampanów z pięćdziesiąt.

— A cóż to, imieniny twoje? czy może... może egzamin zdałeś?

— Nie, ale dostałem familijne stypendyum«. Albo

— »Ty! nie wiedziałem, że u nas tylko sześć lat jest przymusowej nauki. Pocóż nas dziesiąty rok do szkoły posyłają?

— Ha, bo u nas nikt praw nie szanuje, ja także już dziesiąty rok się uczę«.

I tak dalej i t. d. przesuwały się obrazy galicyjskiej panoramie ówczesnej — i co dziwnego, że gdy przychodził obrachunek, gdy zbierał się sejm we Lwowie, Szczutek podawał następujący porządek dzienny i codzienny dla sejmu galicyjskiego, ułożony na całą sesyę już dawno przez komisarza austryackiego:

1. Nędza	6. Bank
2. Bieda	7. Deficyt
3. Głód	8. Dziura w moście i
4. Pożyczka	9. Szpital
5. Dodatek	

Niestety, Szczutek miał racyę!

Prof. Brückner o ostatnich utworach MARYI KONOPNICKIEJ.

Dwadzieścia pięć lat temu pojawiło się na horyzoncie naszej literatury nazwisko — które z biegiem czasu miało się stać jednem z najświetniejszych i najzasłużeńszych. Marya Konopnicka święci w bieżącym roku jubileusz dwudziestopięcioletni swej twórczości poetyckiej.

Mamy nadzieję, że jubileusz znakomitej poetki będzie w kraju święcony z całym pietyzmem i uroczystością, na jaką zasługuje. Niejako w przededniu tego obchodu, dajemy sylwetkę poetki, skreśloną przez profesora historyi literatury polskiej, Aleksandra Brücknera — za łaskawem zezwoleniem autora — równocześnie z pojawieniem się oryginału niemieckiego.

Znakomity profesor kreśli w ogólnych zarysach rozwój najnowszej fazy poezyi polskiej i rzuca następującą charakterystykę:

»Najpotężniejszym (między młodymi w epoce po - pozytywistycznej) okazał się talent kobiety, Maryi Konopnickiej. Jeżeli początkowo był krępowany tendencyą i usiłował propagować nowe idee zapomocą zbyt obfitych tyrad, to ów balast słów i rozległość abstrakcyj zatraca się w późniejszej twórczości. Cudowna plastyka słowa, mistrzowskie opanowanie języka i formy, przytem głębokie współczucie dla wszelkiego cierpienia, pełne miłości zajęcie się maluczkimi i biednymi tej ziemi, żywe odczucie piękności natury i sztuki, stawiają lirykę Konopnickiej wysoko ponad poziomem »Młodej Polski«. W cyklach z Italii, Prowancyi, Tatrów — odtworzyła ludzi i krajobrazy, wrażenia z malarstwa i sztuki plastycznej, oraz wspomnień historycznych w formie wdzięcznej lub przejmującej, zawsze w sposób zajmujący, z siłą lub subtelnością, podziw budzącą: obraz Luiniego lub Corregia, zdziczały faun, entuzyastyczny garibaldczyk świadczą o bogatem urozmaiceniu motywów, które korzystnie odbija od monotonii męskich kolegów na Parnasie i oznacza wzbogacenie i rozszerzenie polskiego liryzmu. Sympatye jej dla wydziedziczonych znajdują wyraz w oryginalnych jej utworach, jak również w doskonałym przekładzie Ady Negri (1901). Najwybitniejszym utworem, szczytem nowoczesnej epopei polskiej jest jej »Pan Balcer w Brazylii« (pisany 1892—1901). Epopeja jest właśnie rodzajem najwięcej dyskredytowanym; »Pan Tadeusz« z góry tłumił wszelką próbę. Chętniej zwracano się też do najdalszej przeszłości, silono się raczej przy pomocy hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, znanego parlamentarzysty i estety, lub też Deotymy poetyzować podanie ludowe (»Baśń nad baśniami« i t. p.), odtwarzano dzieje narodu także w stylu humorystycznym lub formie starej gawędy Pola i Syrokomli lub też kreślono drobniejsze obrazki z chwili bieżącej (np. A. Niemojewski). Jedna Konopnicka odważyła się stworzyć epopeję i zarówno, jak »Pan Tadeusz«, święciła nią tryumfy, niedosięgnione przez powieść lub dramat. Obznajomiona z gwarą ludu i jego sposobem myślenia, napisała epopeję ludową, jak »Pan Tadeusz« był epopeją szlachecką. Nie nakreśliła jednak chłopa w jego prawdziwym żywiole, lecz po drugiej stronie oceanu, gdzie, uniesiony prądem emigracyjnym, szuka sobie ojczyzny nowej, obszerniejszej, wdzięczniejszej. Inni badali przyczyny ekonomiczne, popierali ruch lub go potępiali, ją interesuje sam proces, jak rolnik polski pasie wzrok majestatyczną grą fal, jak po trudach podróży poczynają się dlań straszne rozczarowania, jak głód i febra dziesiątkują wychodźców, jak w bezowocnej walce z dziką naturą słabną ich siły, jak ostatni przy życiu pozostali, wycieńczeni, o upiornym wyglądzie, z resztkami znikających sił i śmiertelną rozpaczą w duszy, ruszają z powrotem do dalekiej ojczyzny, drżący obawą, lecz z ufnością w Boga — z góry skazani na zgubę. Wstrząsające opowiadanie wszystkich tych przejść wkłada autorka w usta »pana« Balcera, kowala wiejskiego, który wyemigrował był wraz z innymi, a zatem jazdę na okręcie emigrantów z jej humorystycznymi szczegółami, urozmaiceniem w postaci burz, żniwem śmierci, pożaru na okręcie, następnie wylądowanie w Santos, pochód w pustyni po zdziesiątkowaniu, dokonanem przez anioła śmierci; trudy i cierpienia w lesie; nareszcie powrót upiorów i duchów. Opowieść, w trzech wielkich pieśniach, oktawami, z drobnymi wyjątkami; w ogóle obserwacya i rozumowanie, stoi na poziomie pierwotnej inteligencyi chłopskiej; cudnym jest język, zlekka zabarwiony archaizmem, przepełniony gwarą Mazurów z nad Narwi. Tu i ówdzie dają się zauważyć pewne momenta efekciarskie, niektóre zbyteczne szczegóły, niektóre przejaskrawione światła i psują jednolitość, wspaniałe wrażenie; zdrowy, rdzenny humor, w ogóle masa osób i obrazów, wstrząsający realizm nieprzepartego, nie dającego się usunąć nieszczęścia, tudzież żywość i plastyka opowiadania scen wesołych lub targających duszę swym bolem — nie dają się prześcignąć. Przede-

wszystkiem imponuje widok niezmiennej ufności w Bogu, z jaką patryarchalnie prości ci ludzie, te zrozpaczone matki, wśród niewymownego swego bolu spoglądają w niebo, błagają o sprawiedliwość i miłosierdzie, nie złorzeczą Opatrzności, z rezygnacyą przyjmują najstraszniejsze próby; pożerająca tęsknota za Ojczyzną, za kościołkiem wiejskim, za dzwonkiem z Częstochowy, które umierającego starca wyraźnie z atmosfery dochodzą. Od »Pana Tadeusza« i »Króla-Ducha« nie wydała epika polska nic większego; jak blade i mdłe są Lenartowicze i Syrokomle wobec strof tych wstrząsających, ze swoją doskonałą charakterystyką najrozmaitszych postaci, od Poleszuka Łucia począwszy, który się spokojnie urządza koło napotkanego bagna, przypominającego mu rodzinne bagna Polesia, a kończące na starcu, wizyonerze, Horodzieju, duchowym przewodniku tych wychodźców, którego znużona dusza opuszcza, gdy gromada znalazła nareszcie drogę w górach, która miała ich zaprowadzić napowrót do gniazda rodzinnego. Tu jędrna, męska charakterystyka, wspaniałe obrazy natury, wstrząsające efekty, zjawiają się w szacie wprost hypnotyzującego stylu, języka, który wszystkie trudności przezwycięża, wyrazu tryumfującego ducha, który utopił nareszcie wszystkie ślady znużonego i bladego pesymizmu »Młodej Polski« w żarze i tragizmie swoich uczuć.

Konopnicka pisuje również rozprawki literackie, najczęściej o pisarzach żyjących (Rostand, Hauptmann, Klaczko, Sienkiewicz i t. d.); książka jej o Mickiewiczu, jakkolwiek nie wolna od przesady, zostaje, mimo spustoszeń ze strony cenzury, jedną z najświetniejszych apoteoz, które kiedykolwiek jeden poeta znalazł u »drugiego«...

Kraków a muzyka.

(Bronisław Hubermann.)

Publiczność krakowska pozbawioną jest uczucia potrzeby muzyki. Nie jest to ani wadą ani zaletą — jest to właściwość. Nie jest to też objawem świeżym, ale rzeczą w Krakowie starą, jak świat. Uczących się muzyki jest mnóstwo, dla tej prostej przyczyny, dla której krawcy i krawcowe doszywają do ubrań zbyteczne guziczki dla ozdoby. Nauczycieli i nauczycielek przybywa w miarę wzrastającej biedy. Ci tem się różnią od klasy robotniczej, że w razie ich strejku, społeczeństwo krakowskie z niekłamanym zapałem, zawołałoby »Bóg wam zapłać«. Nauczyciele i uczniowie szukają po za lekcyami wszystkiego czemby ducha mogli pokrzepić, tylko nie muzyki. Jest w tem coś olimpijskiego, gdy się słyszy z ich ust, ach! ja tyle muzyki mam przez dzień cały!

Po za tą rzeszą jest garstka agitatorów, którzy dzierżą wysoko sztandar idei i twardo stoją przy swych ideałach! Ci zakreślają zadania tak piękne, tak wielostronne, że zagraniczni impressaryowie skrzętnie notują w swych raptularzach »*die erzmusikalische Staat Krakau*«. — A więc sypią się koncerta historyczne z temi rekwizytami, z jakiemi grają w teatrzykach wędrownych Juliusza Cezara. Powstają i padają orkiestry, kwartety i rozliczne *ensemble*, z szybkością epok rewolucyjnych, wykwitają talenta o iscie europejskim zakroju, skarby, kopalnie nowych objawów geniusza narodowego wprawiają w zdumienie, kogo? Nikogo! — Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły dobrzy są ludzie! Zamiast złorzeczyć, chodzą, biegają, agitują, grają, dyrygują, upajają się widokiem sukcesów — dopłacają deficyta, nikomu krzywdy nie robią — często tylko nudzą. Wśród tego, jaśnieje publiczność krakowska blaskiem białej wśród zburzonego oceanu skały, o którą w bezwładną szmatę rozbijają się potężne fale. Te dobre, poczciwe, nieszkodliwe zabiegi, znajdują szlachetne poparcie w najlepszych, najpoczciwszych, najnieszkodliwszych krytykach.

Panna Pikiecińska, to śpiewaczka, o niesłychanej przyszłości, wykształcona w znakomitej szkole wdowy po oficyale przy ulicy Krowoderskiej, dziś już stanęła na wysokości skończonej artystki. — Pan Partoliński — oto pianista, takich koncertów pragniemy, takich słuchać będziemy.

Europie przybędzie nowa gwiazda. Pan radca chwyta z pospiechem konduktora i konstatuje z radością, że Kraków leży nad ważną linią europejskiej sieci kolejowej.

Od czasu do czasu wstrząsa Krakowem wieść, że wielkość pięciu kontynentów przybywa z koncertem. Począwszy od tych, którzy salę hotelu saskiego nazywają salą »Knoca« — a skończywszy na tych, którzy jedyną muzykę słyszą przez ścianę, pilnej uczennicy ujadającej na fortepianie, wszystko dąży na koncert — oklaskom końca nie ma — ale po nad wszystkiemi uczuciami, jedno bierze górę — brudne schody, zimna garderoba i obawa nielitościwego zmięcia nowego paltota lub peleryny. Na drugi dzień wychodzą recenzye — jeden rozwodzi się nad zgięciem ręki w pierwszym, drugi w drugim, trzeci w trzecim przegubie. Uczennice nadzwyczajnie z tego korzystają — czytelnicy mimowolnie wykrzykują; szelmy znają się — nawet taką wielkość wychlastali! A publiczność — po nad temi wszystkiemi pogadankami, unosi wrażenie, że słyszała istotnie coś niepospolitego, mocą instynktów swoich, ocenia daleko lepiej i głębiej od znawców, ale powraca znowu do urodzonej apatyi.

Powszechnie twierdzą, że Kraków pod względem muzycznym upada. O to nie ma obawy, poziom muzyczny jest tego rodzaju, że nietylko skręcenie karku, ale nawet zwichnięcie stawu jest wykluczonem. Faktem jest tylko, że siły artystyczne z zagranicy coraz rzadzej się zjawiają. Pragnąc w drodze coś zarobić, nie dostają nic, albo bardzo mało, pragnąc popisać się przed wykwintną publicznością, jaką jest na niejednym polu sztuki publiczność krakowska, zastają pustki w sali — pragnąc przynajmniej opisu wrażenia, wyczytują nieraz uwagi, pod względem artystycznym żadne, a kryjące zaściankową, małomiasteczkową zawziętość. — Wolność słowa i zdania niech żyje — nikt nie myśli ani wmawiać ani wymawiać, ale jeżeli przybywa n.p. Polak, który ma już po za sobą uznanie wielkiego świata, jeżeli ten Polak gra w Krakowie dla zarobku, jeżeli gra przed pustemi ławkami, to niechże pocieszy się na drugi dzień oceną, choćby najsurowszą krytyką, ale nie lekceważeniem.

Ci co żyją na szerszym świecie, a dla których obojętną jest rzeczą pod jaką wiechą, przepraszam firmą grać będą w Krakowie, nie mają czasu po-



Panna Matylda Rollówna.



Willy Burmester, skrzypek.



Solski jako Piast
w tragedyi Romanowskiego »Popiel i Piast« w teatrze lwowskim.

łapać się w misternym mechaniźmie rozlicznych pretensyj lokalnych. — Niechże zatem grają nawet przed pustemi ławkami, ale oszczędźmy im lekceważenia, aby tych resztek porządnych koncertów nie stracić.

Uwagi te nasunął mi koncert Hubermana dany w sali Hotelu saskiego w ubiegły czwartek.

Byłem świadkiem tryumfów tego chłopca w Wiedniu — słyszałem co o nim mówili tacy, jak Brahms, Schütt, Leszetycki, wiemy dobrze, że dał dwanaście z rzędu koncertów w Wiedniu, są w Krakowie świadkowie jego nadzwyczajnych powodzeń w Londynie i w Ameryce, — słyszeliśmy go w końcu w Krakowie. — Można mówić o jego grze zdanie, jakie się podoba, ale nazywać go reklamowiczem, jest to tylko poczciwą niepewnością własnego zdania.

Huberman, którego wykształceniem muzycznem zajmował się hr. Jan Zamoyski, kształcił się pod kierunkiem Joachima. — Obecnie jako ośmnastoletni młodzieniec celuje przedewszystkiem wzorową stylowością gry.

Widocznem to było w koncercie Mendelsohna i w Chaconie Bacha, a już wybór tych dzieł dowodzi, że artysta nie technicznemi sztuczkami, ale głębszą grą pragnie przemówić do słuchacza. — Chacona Bacha, tak jest nadzwyczaj trudną, że opanowanie jej dowodzi skończonego artysty, dla szerszej jednak publiczności, utwór ten długi bez akompaniamentu sprawia wrażenie nużące. Chacona mimo to pozostanie zapewne na długie lata w repertoarze artystów wybitnych. Kantylena wychodzi z pod ręki Hubermana z wielką prostotą i plastyką, i czuć w niej szkołę niemiecką, która bądź co bądź, dla talentów prawdziwych pełnych ognia i zapału, pozostanie najlepszym i niezawodnym środkiem, do utrzymania porywów w pewnej równowadze. Takież wrażenie ogólne sprawiła gra tego artysty? Sądząc po trzeciej szczególnie części koncertu Mendelsohna, zapał publiczności byłby nierównie wyższą na tle bardziej podobnych utworów, osięgnął temperaturę — czego dowodem było przyjęcie ślicznie odegranego nokturnu Chopina i mazurka Zarzyckiego — poczem publiczność żądała i otrzymała kilka utworów nadprogramowych.

Franciszek Bylicki.



Dyrektor opery lwowskiej Spettrino.
(Fot. zakładu art.-fot. »Adèle« we Lwowie).



Aleksander Bandrowski jako Manru.
(Fot. zakładu art.-fot. »Adèle« we Lwowie).

Z Teatru i Muzyki.

(Patrz ilustracye: Spettrino, Bandrowski jako Manru, Jeromin jako Oros — Solski jako Piast, pna Rollówna, Willy Burmester).

Z teatru lwowskiego.

I. »MANRU«.

Opera Paderewskiego jest u nas jeszcze ciągle nowością. Kiedy przed kilku dniami inaugurowano nią we Lwowie bieżący sezon operowy, przedstawienie miało uroczyste cechy premiery, a teatr był wysprzedany aż do ostatniego miejsca. Bo też »Manru« nie miał jeszcze czasu spowszednieć. Po raz pierwszy wszedł na deski teatralne we Lwowie tak niedawno, że gorączkowe interesowanie się nim publiczności można uważać za ciąg dalszy tego wyjątkowego entuzyazmu, z jakim dzieło Paderewskiego zostało u nas przyjęte przed przed pięciu miesiącami. Po premierze 11. czerwca b. r., wśród niebywałego powodzenia w porze najniekorzystniejszej dla teatru, grany był »Manru« dwadzieścia razy we Lwowie, a następnie cztery razy podczas krótkiej gościny opery naszej w Krakowie. Piękność muzyki i siła dramatyczna dzieła Paderewskiego zapewniają mu trwały sukces, do którego u nas przyczynia się znakomita orkiestra pod batutą dyr. Spettrino, świetny wykonawca partyi tytułowej i przepyszne dekoracye pejsażu tatrzańskiego. Obsada obecna uległa pewnym zmianom. Partyę Ulany po pani Ruszkowskiej objęła panna Bohussówna, partyę Azy po pannie Strassern młoda adeptka sztuki operowej, panna Rollówna,



Julian Jeromin w roli Orosa.
(Fot. zakładu art.-fot. »Adèle« we Lwowie).

która debiutem swoim zdobyła sobie odrazu stanowisko na scenie. Tylko p. Kasprowiczowa (matka Ulany), Bandrowski (Manru), Szymański (Urok) i Jeromin (Oros) zostali przy dotychczasowych partyach.



GMACH ZAKŁADU DLA CIEMNYCH WE LWOWIE.

II. Debiutantka.

Lwów zdobył sobie już od szeregu lat sławę miasta, dostarczającego pierwszorzędnym scenom śpiewaków i śpiewaczek. Wychodzili stąd po kolei Floryański, Bandrowski, Myszuga, Lola Beeth, Arklowa, nie licząc całej plejady gwiazd mniejszego gatunku. Co prawda, produkcya ta, była raczej przypadkową, aniżeli tkwiła w tutejszej atmosferze artystycznej. Lwów przypomina sobie dotąd, jako wesołe *curiosum*, owe słynne opinie tutejszych krytyków teatralnych przed laty dwudziestu, którzy Floryańskiemu radzili wrócić coprędzej do poczty, a Bandrowskiemu rokowali niejakie nadzieje w balecie. Czasy te minęły niepowrotnie. Dziś można mówić prędzej o pewnej przesadzie w kierunku popychania naprzód wszystkiego, co gra i śpiewa, aniżeli o zniechęcaniu talentów. Jedno tylko zostało niezmienione: oto nadzwyczajna szybkość, w jakiej wyłaniają się po sobie coraz to nowi adepci opery i operetki.

Tegoroczny sezon operowy nie został także *sine linea*. W pierwszem przedstawieniu opery Paderewskiego »Manru«, inaugurującem sezon, przedstawiła się publiczności lwowskiej w partyi Azy nowa, początkująca śpiewaczka, lwowianka, panna Matylda Rollówna. Pierwszy krok na deskach teatralnych wypadł tak dobrze, że krytycy (przytaczam w tej chwili opinię prof. Neuhäusera) zaliczają go »do najszczęśliwszych debiutów, jakie w ostatnich czasach ogłosił afisz teatru lwowskiego«. Debiutantka wykazała silny, piękny, metaliczny głos i nadzwyczajną muzykalność, obok wybitnego werwu dramatycznego, a to są dane, na podstawie których można rokować wcale nie tuzinkową przyszłość. Panna Rollówna przygotowywała się na scenę pilnie i sumiennie przez długie lata. Skończywszy w konserwatoryum lwowskiem klasę śpiewu prof. Wysockiego z wielkim medalem srebrnym i dyplomem, kształciła się następnie w szkole znakomitej spiewaczki, pani Kamilowej we Lwowie, a przez dwa lata w szkole śpiewu pani Weinlich w Gracu. Dodajmy, że panna Rollówna — znana dotąd z kilku występów estradowych — dziedziczy talent do muzyki po swoim ojcu, najlepszym kapelmistrzu lwowskim i popularnym kompozytorze.

Debiut panny Rollówny wywołał żywe zainteresowanie w kołach melomanów lwowskich.

Lwów. *Ob.*

Z teatru krakowskiego.

»BUDOWNICZY SOLNESS«.

W poprzednich naturalistycznych dramatach Ibsen zdobył mistrzowską umiejętność prowadzenia dyalogów i budowania akcyi (zewnętrznej) w liniach spokojnych. Ta mistrzowska umiejętność pozwala mu w dramatach ostatniego okresu rozprzestrzeniać idee swoje po za granice wytyczone wymaganiami sceny i wciskać w wiązania swych sztuk symbole filozoficznych i społecznych aspiracyj. »Budowniczy Solness« przesuwa się przed oczami widzów przyzwyczajonych widzieć na scenie kolizye prozaicznych celów i dążeń — jak wizya. Dziwna, bezdenna głąb wieje z podium teatralnego. Tych ludzi, którzy mówią na scenie tak bardzo pospolitym dyalogiem — a tak myślą i działają abstrakcyjnie — chciałoby się widzieć w ja-

kichś innych kształtach, w jakiemś innem otoczeniu. Zewnętrzność każe nam pamiętać o realistycznej prawdzie — a duch dramatu rozsadza swe *milieu* i rwie się w przestrzenie absolutu.

P. Sosnowski starannie opracował swoją rolę. Ale grozę, która wiać powinna z jego postaci, powinien był ustopniować. W ruchach, w dyalogu w miarę przebiegu akcyi, powinien być coraz bardziej skupionym i głębokim. P. Siemaszkowa była bardzo dramatyczną w akcie ostatnim — w całej jednak postaci nie było tej poezyi, której widz się domaga. Może winien temu — tekst? Wszystkie inne role były dobrze opracowane.

T. K.

WILLY BURMESTER

W ostatnich dniach Galicya ujrzała trzech najsłynniejszych skrzypków spółczesnych: Kubelika, Hubermanna i Burmestra, którego portret zamieszczamy.

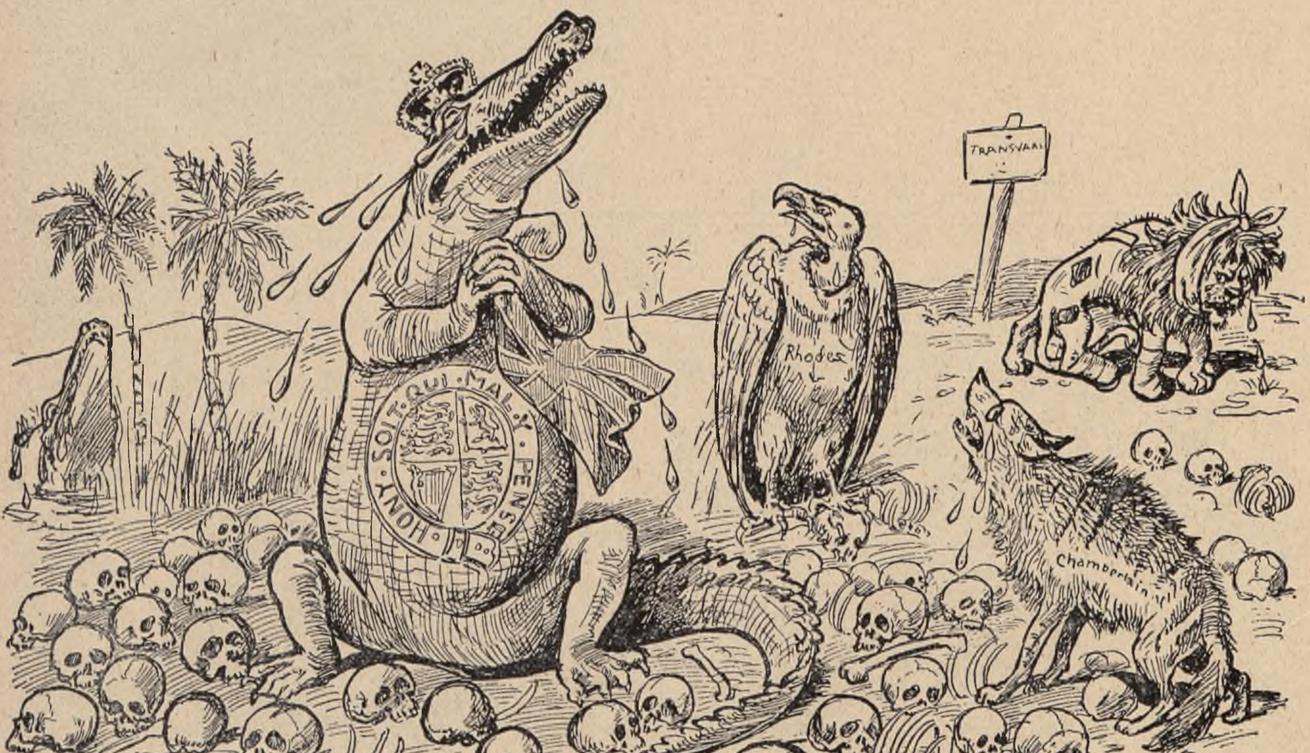
Willy Burmester urodził się 16 Marca 1869 r. w Hamburgu. Ojciec jego, równie tęgi skrzypek, poznawszy się wcześnie na talencie syna, uczył go sam do 14 roku życia, a kiedy go już sam nie mógł go niczego nauczyć, posłał syna do mistrza Joachima. Po dwóch latach wystąpił Burmester z berlińskiego konserwatoryum, dał parę koncertów w Rosyi, Niemczech, ale bez wielkiego powodzenia. Dopiero gdy został powołany jako nauczyciel do konserwatoryum w Helsingfors (Finlandya) codziennem kilkagodzinnem ćwiczeniem wyrobił sobie tę bajeczną technikę, którą wkrótce potem zadziwił cały świat muzykalny.

Burmester słynie słusznie jako wykonawca utworów Bacha.

Zakład dla ciemnych we Lwowie

Jedyny na całym obszarze Galicyi zakład dla ciemnych we Lwowie, założony przez Władysława Zarembę Skrzyńskiego, istnieje od r. 1842. Z historyą niewielkiego domu przy ulicy Łyczakowskiej, wychowującego nieszczęśliwe ciemne dzieci, splotło się od lat dwudziestu pięciu nazwisko jednego z najwybitniejszych obywateli naszego kraju, księcia Jerzego Czartoryskiego, który powierzony sobie urząd kuratora pojął nie jako tytuł, służący do zadowolenia próżności osobistej, lecz jako poważny obowiązek, który należy spełnić sumiennie i uczciwie. Jego też inicyatywie i hojnej pomocy materyalnej (dar 60.000 koron) zawdzięcza zakład, że mógł w tych dniach przenieść się ze swojej skromnej siedziby przy ulicy Łyczakowskiej do nowego, wzorowo urządzonego, dwupiętrowego gmachu, w pięknem i zdrowem położeniu przy ul. św. Zofii. Zakład poświęcony w obecności marszałka kraju, hr. Potockiego i namiestnika, hr. Pinińskiego, przeznaczony jest dla sześćdziesięciu wychowanków, mieści obszerne i widne sale do nauk szkolnych, do robót ręcznych kobiecych, muzyki, koszykarstwa, salę popisową z ołtarzem, jadalnię. łazienki, kancelaryę. mieszkanie dla kierownika, dla dla nauczyciela, dla dozorczyni itd. Nowością, której nie było w starym budynku, jest rodzaj szkółki przygotowawczej dla całkiem malutkich, kilkoletnich ociemniałych dzieci, które w ten sposób jeszcze przed wiekiem szkolnym będą mogły być pod opieką zakładu.

Karykatura z wojny boërskiej.



Król Edward tymi dniami wygłosił toast, w którym się wyraził: »Niestety wojna się przewleka, ale modlimy się usilnie o przywrócenie spokoju i ładu w Transvaalu«. (*Der Tag*).



„Milczenie" (Le silence).
Okładka do wielce głośnego albumu zjadliwych karykatur Jana Vebera, p. t. »Obozy schronienia w Transvaalu«.

Z wojny w Transvaalu

Wojna w Transvaalu — to już nie wojna, ale haniebne zimne okrucieństwo, zmierzające powoli do zupełnego wytępienia nieszczęsnych Boerów.

Z rozpaczą, bo nie mają nic już do stracenia i nic do zyskania, i z zaciętością bezgraniczną, walczą ostatnie zastępy i nie złożą broni — dopóki:

»Dopóki jeszcze dziesięciu nas jest w kupie« — powiedział Botha.

«Jak długo będziem walczyć? O jeden dzień dłużej od Anglików« — powiedział Steyn.

A Anglicy — palą farmy, mszcząc się za każdy napad, za każde swoje niepowodzenie, niszczą dobytek, a dzieci i kobiety!... o, nie zabijają ich, to byłoby niezgodne z pojęciami humanitarności wielkiego narodu: dzieci i kobiety uprowadzają do tak zwanych obozów kobiecych, *women-camps*.

Tych obozów jest kilkanaście pod Pretoryą, Irene, Standerton, Pietermaritzburg i i. Namiot przy namiocie, w każdym po 10--12 dzieci i kobiet, ongi zamożnych gospodyń, dziś nędzarek po stracie spalonej farmy i dobytku.

Głód straszliwy, chłód, nędza, rozpacz i choroby panują w tych obozowiskach. *Womencamps*: to miejsca powolnej zagłady.

Oficyalne angielskie daty wykazują następującą śmiertelność: w Irenie w ciągu czerwca zmarło 137 kobiet i dzieci; w Potschefstroom 240. Najwięcej umiera w Bloemfontein: codziennie 5 10 osób. Raporty lekarskie jako powody śmierci podają: wynędznienie organizmu, tyfus, ataki sercowe, odrę.

A Europa milczy i patrzy na to wszystko spokojnie, tak jak milczy wobec innych bliższych dowodów kultury, np. niemieckiej w Poznańskiem...

Tylko jeszcze ci, którzy biczem walczą satyry, ci jedynie interesują się Transvaalem.

Podajemy tu pomniejszone reprodukcye z albumu Jeana Vebera, poświęconego tym *Camps de reconcentration* w Transvaalu. Album, to jest we Francyi zakazane, z powodu ryciny na odwrotnej stronie okładki, przedstawiającej króla Edwarda.

Jest to satyra, jedna z tych, która pisze łzami i szydzi okrutnie i tnie aż do krwi.

Ale satyra ta — rzeczywistości może nie dorównuje!

Obozy kobiet w Transvaalu.



... W obozach schronienia kobiety boerskie znajdują obszerne namioty, w których nie brak świeżego przewiewu. Pragnę usilnie aby higiena i nasz renomowany komfort angielski miały tam siedzibę. Niektóre z tych namiotów przedstawiają istotnie przyjemny widok życia familijnego.

(Raport oficyalny lorda Kitchenera do »War Office«).

W drodze do obozu.



... wczoraj wzięliśmy do niewoli silny oddział boerów. Kazałem go odesłać do obozu pod odpowiednią eskortą. Humanitarność naszych żołnierzy nie pozostawia nic do życzenia, jakkolwiek Boerowie niejednokrotnie dopuszczają się czynów dzikości.

(Raport urzędowy lorda Kitchenera do »War Office«).

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.